



Etiopia

Genetyczne poznawanie świata

Z Markiem Marcolą, podróżnikiem, autorem strony www.przez6kontynentow.pl rozmawia Józef Szewczyk

■ Jak rodzi się pasja poznawania świata?

To trzeba mieć w sobie, ja się z tym urodziłem. Od dziecka ciągnęło mnie w świat. Miałem 16 lat, kiedy zacząłem jeździć koleją, śpiąc w pociągach i na dworcach. Kiedyś na dworcu w Kwidzynie zbudził mnie milicjant i zapytał – co ty tu chłopcze robisz? Odpowiedziałem – przyjechałem zobaczyć zamek zbudowany w 1320 roku przez Krzyżaków. To go chyba przekonało, bo powiedział – tu w zasadzie nie wolno spać, ale zostawił mnie w spokoju.

Dziś, po sześćdziesiątce wszystko mnie w zasadzie w życiu znudziło poza podróżami. Nadal gdzieś mnie ciągnie, ciągle chcę coś zobaczyć nowego.

■ Pierwszy odwiedzony kraj?

Nie ma już go – Niemiecka Republika Demokratyczna, 1979 rok. Miałem znajomych w Policach, więc pojechałem pociągiem do Szczecina, noc przespałem u nich, a następnego dnia wsiadłem w pociąg i pojechałem do Berlina Wschodniego. Zwiedziłem miasto, wjechałem na wieżę telewizyjną, popatrzyłem na przedzielone białym murem miasto i pojeździłem po raz pierwszy w życiu metrem, o takim jeszcze przedwojennym sznycie. W Berlinie nie planowałem nocować, więc nocnym pociągiem pojechałem do Wrocławia. Marki NRD, które mi zostały wymieniłem na czeskie korony i udałem się do Pragi. Cały dzień włóczyłem się po czeskiej stolicy i wróciłem do domu po pięciu nocach spędzonych w pociągu. Ale szczęśliwy, bo zobaczyłem inny świat. Zrozumiałem, że nie

wszędzie musi być tak samo. I ta pierwsza podróż sprawiła, że zapragnąłem poznawać co jest dalej.

■ I co było dalej?

Bulgaria, Rumunia, Węgry. W tamtych czasach trudno było gdziekolwiek pojechać. Bulgaria to był szczyt marzeń – słońce wysoko, osiołki, inna architektura – do dziś to pamiętam. Po tej Bułgarii byłem uskrzydłony.

W 1981 r. udało mi się wyjechać do Francji i Niemiec. Trzeba było mieć 150 dolarów, wpłacić na konto i można było otrzymać paszport. Zobaczyłem po raz pierwszy Zachód i byłem oczarowany. To był kosmos, przepaść między zacofaną Polską, biedną, ze złymi drogami. Niemcy były wówczas na wyższym poziomie niż my jesteśmy dzisiaj. Sklepy, samochody, czystość, a przede wszystkim mentalność ludzi była inna. To pokazuje jaki dystans dzieli nas od Zachodu. On może zmniejszył się w wielkich miastach, ale na prowincji wciąż jesteśmy w gorszej sytuacji niż Niemcy przed 40 laty. Ciągłe sytuujemy się gdzieś pośrodku między Wschodem a Zachodem.

Przez kilka lat nigdzie nie wyjeżdżałem z przyczyn oczywistych: stan wojenny. Dopiero w 1986 r. wyjechałem do Francji, a potem do Niemiec do pracy. Potem odwiedzałem po kolei inne kraje Europy, na Islandii kończąc.

■ Pierwszy kraj na innym kontynencie?

Tunezja. Tunezja i to samolotem. W PRL ceny biletów lotniczych były kosmicznie drogie, więc po Europie podróżowałem

głównie pociągami. Ale poza Europę już się pociągami nie dało. Od Tunezji zaczęło się podróżowanie po świecie.

Prawdziwą egzotyczną podróż odbyłem w 1997 r. do Tajlandii. Zobaczyłem, że słońce jest nad głową, prawie jak na równiku, że dzień jest równy nocy, że są piękne zachody słońca, choć słońce szybko zachodzi, nie tak jak w naszej szerokości geograficznej.

Potem były inne podróże, zwiedziłem blisko 100 krajów na sześciu kontynentach. Zwieńczeniem moich wyjazdów była podróż dookoła świata, którą odbyłem trzy lata temu. Teraz nieśmiało myślę o Antarktydzie...

■ Pana pasja jest wrodzona. Można powiedzieć – genetyczna. Ale teraz mamy do czynienia z masowym zjawiskiem – ludzie w mediach społecznościowych wręcz ścigają się na liczbę odwiedzonych krajów, blogerzy, youtuberzy, instagramowcy chwalać się odwiedzonymi miejscami. Niektórzy żyją podróżując po świecie....

To jest moda napędzana przez Internet. Podróżuję w większości samotnie, ale też jeżdżę z wycieczkami. Wtedy obserwuję moich współtowarzyszy i odnoszę wrażenie, że większość tak naprawdę nie wie, gdzie się znajdują. Interesuje ich, żeby zrobić sobie selfie i pochwalić się tym w mediach społecznościowych.

Z drugiej strony muszę przyznać, że sam kiedyś nie dostrzegałem istoty wielu ciekawych rzeczy i miejsc, bo nie umiałem odpowiednio patrzeć i kojarzyć. Byłem kiedyś na targach w Gdańsku, które jakoś się dłużyły. Namówiłem kolegę i wsiedliśmy na prom do Karlskrony. Przypadkiem trafiłem tam do dzielnicy drewnianych domów i mnie olśniło – przecież ja mieszkam w Zwierzyńcu na skraju takiej samej dzielnicy Borek z najwęższą w Polsce ulicą.

Dopiero jak człowiek ma wiedzę ten świat zaczyna mu się układać w całość i zaczyna go bardziej rozumieć. Niewątpliwie taką wiedzę dała mi podróż dookoła świata w ciągu 10, czy 11 dni, (licząc dzień Phileasa Fogga, bo pojechałem na wschód). Zobaczyłem jak duży jest ten świat. Ale też i mały. Dziś samolotami rejsowymi można oblecieć kulę ziemską w 52 godziny (niepobity do dziś rekord z Concorde wynosił 47 godzin), ale to jest bezsens, bo wtedy człowiek nic nie widzi. Planując podróż dookoła świata miałem już wiele miejsc odwiedzonych, więc starałem się wybrać te, w których nie byłem i zaliczyć dwa równoleżniki. I kondycyjnie to był ostatni moment na taką podróż. Z wiekiem przychodzą

ograniczenia, a najlepszym momentem na taką wyprawę jest wiek 40-50 lat.

■ Co Panu dało te podróżowanie?

Otwartość na świat, jego zrozumienie, świadomość jak ten świat jest różnorodny, że my nie jesteśmy pępkiem świata, jak czasem niektórzy próbują nam wmawiać, tylko przeciętnym europejskim narodem ze swoimi zaletami i wadami, ale nie jesteśmy Mesjaszem narodów...

Czasem słyszę, że Europa może się od nas uczyć jak pięknie żyć. To absurd. Tam jest może mniej religii, ale więcej etyki. Obserwowałem społeczeństwo niemieckie. Oni są bardzo etyczni, jak dali słowo, to je zawsze dotrzymywali.

Człowiek podróżując uczy się też tolerancji. Spotykałem masę ludzi różnych ras, głupich i mądrych, bez względu na kolor skóry. Takie spotkania uczą, wzbogacają, człowiek pokornieje. Każda podróż to jest też podróż w siebie, poznawanie siebie i doskonalenia.

■ Jakie rady dałby Pan młodym ludziom chcącym podróżować i poznać świat? Najpierw należy poznać języki, zgromadzić fundusze, dużo przeczytać o danym kraju? Co zabrać ze sobą w podróż?

Język i wiedza – oczywiście tak. Z potrzeb prozaicznych najważniejsze to zabrać paszport i pieniądze. Wszystko inne się kupi. Na tydzień wyjeżdżam często tylko z plecakiem, jak np. do Nowego Jorku w styczniu 2020 roku, tuż po zniesieniu wiz do USA.

W Ameryce nie chciałbym mieszkać, choć to pragmatyczny, dobrze zorganizowany kraj. Brak mi tam naszych europejskich korzeni. Natomiast Nowy Jork mnie oczarował. Przed wyjazdem byłem nieco zblazowany, gdyż zwiedziłem prawie wszystkie duże miasta na świecie i nie spodziewałem się czegoś szczególnego. Jednak Nowy Jork rzucił mnie na kolana! Wprawdzie bywa brudny, biedny, metro to lata świetlne od moskiewskiego, ale ma ten styl, charakter, jakiś nieodparty urok. Chodziłem dużo po mieście, patrząc na nie również pod kątem filmów, które tutaj nagrywano. To dzięki nim Nowy Jork od początku wydawał mi się dziwnie znajomy. Znalazłem np. dom Holly Golightly z filmu „Śniadanie u Tiffany’ego”, który się nic nie zmienił. Jest to bez wątpienia stolica współczesnego świata, tak, jak w XIX wieku był nią Londyn. Wprawdzie ciężar rozwoju Stanów Zjednoczonych przenosi się teraz ze wschodniego na zachodnie wybrzeże, gdzie dominują Los Angeles

Marek Marcola – lat 62, urodzony i zamieszkały w Zwierzyńcu na Roztoczu. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji UMCS w Lublinie, wieloletni pracownik administracji państwowej i samorządowej. Obecnie wolny zawód. Od 40 lat podróżnik – amator z 95 krajami na koncie, który postawił stopy na 6 kontynentach, był przy murach chińskim i berlińskim oraz porównał piramidy egipskie z meksykańskimi. Udało mu się zobaczyć najwyższe góry świata i najwyższy wodospad, być na sawannie, pustyni, stepie, w dżungli, buszu i tundrze oraz odwiedzić większość ze sztandarowych zabytków świata, a także imponujących miast, jak Sydney, Buenos Aires, Singapur, Nowy Jork, Szanghaj, Delhi, Meksyk, Tokio, Toronto, Johannesburg, Bejrut, Dubaj czy Jerozolima.

W październiku 2018 roku w ciągu 10 dni odbył podróż dookoła świata trasą: Warszawa – Dubaj – Perth – Auckland – Buenos Aires – Montevideo – Madryt – Amsterdam – Warszawa



Autor, Zielona Laguna, Boliwia



Salar de Uyuni, Boliwia. Solnisko, pozostałość po wyschniętym słonym jeziorze



Pustynia z pinaklami, Australia



Zbiory ryżu, Kambodża

i San Francisco, ale Nowy Jork w swoim architektonicznym, stylowym i kulturowym pierwszeństwie jest niezagrożony.

■ Co zrobiło na Panu największe wrażenie?

Mam swoją złotą piątkę. Na pierwszym miejscu jest Etiopia, a za nią jest przepaść – długo, długo nic. A dlaczego? Wszędzie, gdzie się pojedzie trafia się na kalkę kolonialną, zwłaszcza w tzw. Trzecim Świecie – tu rządzą Portugalczycy, tam Brytyjczycy, Francuzi, Hiszpanie. W Etiopii tych wpływów nie ma, wprawdzie Włosi okupywali ją krótko, ale tylko na 37% obszaru. To jest kraj, gdzie można zobaczyć prawdziwą czarną Afrykę na dodatek z cennymi zabytkami, co jest wielką rzadkością na tym kontynencie.

W Etiopii są wspaniałe zamki i obiekty sakralne, jak choćby unikalne wykute w skałach kościoły w Lalibeli, w 1978 roku wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego UNESCO. Gdyby one były bliżej i częściej odwiedzali je turyści, z pewnością wygrałaby z Petrą konkurs typu 7 cudów świata.

Mają stare manuskrypty, pokazują je, w ogóle sobie nie uświadamiają ich wartości. To, co gdzieś można oglądać za szybą, w klimatyzowanym pomieszczeniu, tam można dotknąć, wziąć do ręki.

To jest bardzo kolorowy kraj. Etiopczycy są Afrykanami, ale o semickich cechach. Wyznają religię monofizyczną (monofizytyzm, eutychanizm, doktryna teologiczna, według której Chrystus ma jedną złączoną naturę bosko-ludzką i nie istnieje w dwóch naturach, tj. boskiej i ludzkiej – przyp. red). Ich chrześcijaństwo jest bardzo stare, msze trwają trzy godziny.

Oni wiedzą, że jesteśmy bogaci, jednak nie mają kompleksu białego. To jest biedny, ale bardzo dumny naród. Jak wjechałem poza stołeczną Addis Abebę i patrzyłem na tamtejszych ludzi, to myślałem, że ktoś kręci kostiumowy film, że to nie jest realne. A jednak! Na prowincji, gdzie kończą się drogi asfaltowe, a zaczynają szutrowe, wkracza się w świat, jakby sprzed stuleci. Warunki życia są nadzwyczaj ciężkie, czasem ma się wrażenie, że oni nie znają jeszcze koła, kiedy widzi się kobiety dźwigające wszystko na plecach, natomiast w miastach sporo się zmienia, są telefony komórkowe i inne zdobycze techniki.

Kolejny kraj na mojej liście to Haiti, który wygląda jak kawałek Afryki na Karaibach. Kiedy dotarłem tam jeszcze przed tragicznym trzęsieniem ziemi, było bardzo biednie. Trudno sobie wyobrazić, co jest teraz. Granicy nikt od strony haitańskiej nie pilnował, a naszej grupie towarzyszyło wojsko dominikańskie dla ochrony.

Następna na liście to Kambodża, która też jest bardzo biedna, ale bardzo atrakcyjna turystycznie, zwłaszcza na prowincji. Panują tam jeszcze archaiczne metody uprawy roli, zaś ludzie żyją nader prymitywnie. Rozwój zauważany jest w miastach, turystyczną lokomotywą jest kompleks Angkor, wpisany na Listę UNESCO.

Kolejny na liście Nepal, to nie tylko góry. Urzekły mnie tamtejsze zabytki, stosunkowo mało znane, zgromadzone w tzw. królewskich miastach: Katmandu, Patan i Bhadgaun. Tybetańczycy są bardzo malowniczym narodem, często ubierają się w tradycyjne stroje.

Do najciekawszych krajów, które odwiedziłem zaliczam jeszcze Boliwię. O jej atrakcyjności decydują głównie walory przyrodnicze, wśród których na plan pierwszy wysuwa się słynny Salar de Uyuni, czyli największe na świecie solnisko o pow. 10 tys. km². Do tego dochodzi tzw. Altiplano, czyli andyjski płaskowyż na wysokości 4-5 tys. m n.p.m. Bardzo barwnie



Nowy Jork

wyglądają Boliwijczycy zamieszkujący na wsi, zaś stołeczne La Paz urzeka wręcz wysokogórskim położeniem na zboczach.

■ Największe zaskoczenie?

Rozczarowanie – Wielki Mur Chiński, który podobno widać z Kosmosu, ale ja go z pokładu samolotu nie zauważyłem, bo się zlewa z górami. Poza tym oglądane fragmenty muru są współczesną rekonstrukcją, która wręcz pachnie świeżą farbą i psuje całkiem magię miejsca.

Można porównać Chiny i Indie, które są dużo biedniejszym krajem, ale tam ludzie żyją naturalnie, jak chcą. Oczywiście jest tam dużo biedy, hałasu, brudu, ale wszystko co ważne – kultura, religie, zabytki – są na wskroś autentyczne.

W Chinach przez rewolucję kulturalną wiele zabytków zostało zniszczonych, ludzie stali się bardziej nieufni, skryci. Teraz wiele się zmienia i odbudowuje, ale brakuje autentyczności. Pekin się zmienia, niby modernizuje, ale za cenę niszczenia tradycyjnych hutongów. Miliony rowerów zostało zastąpione milionami samochodów. Nie są to Chiny, jakie sobie wyobrażałem.

Po tygodniu trafiłem do wioski Lu Zhi, zwanej chińską Wenecją, gdzie życie toczy się na wodzie i łodziach i dopiero tam zobaczyłem kawałek starych Chin z domami i mostami mają-

cymi po 1000 lat. Mimo wszystko Chiny trzeba zobaczyć, ten kraj naprawdę imponuje swoimi gospodarczymi osiągnięciami.

Z nowych, a mało znanych miast bardzo mi się podobała Astana, miasto zbudowane niemal od podstaw na stepie. Dzięki zaangażowaniu świetnych architektów i urbanistów udało się stworzyć spójną koncepcję nowoczesnego miasta.

Brazylia pod względem przyrodniczym jest pierwszą ligą, ale nie podobał mi się ten kraj. Ja dużo chodzą sam, a tam jest niebezpiecznie. Dużo spokojniejsza jest Argentyna.

Z kolei bardzo na plus byłem zaskoczony zwiedzając Tadž Mahal – budynek jest skończenie piękny, jego sztuka i majestat zapadają na długo w pamięć.

Machu Picchu – pierwsze 5 minut, jak człowiek wejdzie na górę i widzi w dole ścięty wierzchołek góry i miasto, to wtedy robi to kolosalne wrażenie. Z bliska traci trochę na atrakcyjności.

Salar de Uyuni – największe solnisko na świecie zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Białe, idealnie równe – tam jest 70 cm różnicy na 170 km, jakby się chodziło po lodzie. Żyjąc przyzwyczajamy się do różnych ograniczeń – tutaj są drzwi, tu płot, tam ulica. A tam nagle człowiek staje na środku ogromnego dna wyschniętego jeziora i niczego poza horyzontem nie widać, wszędzie może pójść i jest tak samo – nie ma żadnych ograniczeń przez kilkadziesiąt kilometrów. Psychicznie jest to niezwykle doznanie. Wizualnie też – jakby człowiek znalazł się na środku oceanu, z tą różnicą, że tu może się łatwiej poruszać.

■ Co ma Pan w planach?

Dobić do setki, a potem, ile się da. Mam parę krajów, które chciałem odwiedzić, np. Iran, Namibię, kraj, który był kolonią niemiecką i słynie z potężnych wydm. Chciałbym też odwiedzić Wietnam i Birmę. Następnie Amerykę Środkową – Kostarykę, Panamę, Salwador.

Pandemia sprawiła, że wiele krajów było i jest niedostępnych, ale to się zmienia.

Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał: Józef Szewczyk



Kanada